Świat powieściowy.

Nr. 136 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

II.

— A to droga na złamanie karku! To pnij się w górę jak na piec, to spadaj z pieca na łeb! I w dodatku ta wieczna mgła i chmury, które jak płachta szara na sam nos ci spadają! Co prawda to prawda, tak źle nie wyobrażałem sobie tego wszystkiego! Wstając i legając Bogu podziękuję, gdy szczęśliwie staniemy u celu!

Tak narzekał stary Arnold, podczas mozolnej przez góry podróży i lżej mu się na sercu robiło, w miarę jak strach swój piekielny w słowach rozpaczliwych wyrażał. Siedział w powozie na przodzie — szanując jego siwe włosy, od dawna już Paweł Werdenfels tutaj miejsce mu wyznaczył — i wpatrywał się okiem przerażonem w otchłań bezdenną po lewej stronie, podczas gdy po prawej, nad wązką drożyną, jeżyły się skały niebotyczne, grożąc co chwila odłamami naprzód wysuniętemi, które zdawały się niejako wisieć w powietrzu. Gościniec był wprawdzie surowo utrzymany, silne barjery chroniły od wywrotu, a przyzwyczajone do gór Hucuły, mierzynki raźne i na ostro podkute, pięły się odważnie po ślizkich kamieniach, jak gdyby urodziły się mułami, nie końmi. Mimo to podróż wśród mgły i drobnego kapuśniaczku, który zimnem krew ścinał, nie należała wcale do życia przyjemności, to też Paweł Werdenfels wciśnięty w kąt powozu, był widocznie w humorze najfatalniejszym!

— Jeżeli tak dalej pójdzie — wzruszył niecierpliwie ramionami — możemy dostać się łatwo aż na same gór szczyty, wiecznym lodem i śniegiem pokryte. Czy nie słusznie lękałem się podróży do tego zaklętego Felseneck?! Musimy już być gdzieś niedaleko, a jeszcze nic nie widać, tak całe to sowie gniazdo w chmurach utonęło!

— I stryjaszek tam wiecznie siedzi w chmurach zawieszony? — bąknął Arnold. — Gust osobliwszy, nie ma co mówić!

— Uważałeś jednak za rzecz konieczną — zaśmiał się Paweł z gorzkim sarkazmem — żeby mnię otoczyć jak najrychlej ludzi rozsądnymi! Czy zdaje ci się to zgodne z rozsądkiem, gnieździć się gdzieś nad chmurami, w ruinie przez pół rozwalonej, gdy ma się taką królewską siedzibę, jak prześliczny zamek i park w Werdenfels, a oprócz tego jeszcze kilka innych pałaców w dolinie? Strzeż się Arnoldzie! Gdy ci się zaczną uwijać nad głową puhacze i nietoperze, a dawni *Raubrittery* wstaną z grobowców w pełnym rynsztunku, wzdychając i kusząc po nocy, to zatęsknisz może za pobytem w bezbożnych Włoszech, a nawet za towarzystwem, tak przez ciebie znienawidzonego signora Bernarda!

— O, za tym pewno żałować nie będę! — odezwał się Arnold uroczyście. — Stokroć gorszy rabuś niż owi osławieni *Raubrittery!* Chociaż tam w górze nie wesoło Bogiem a prawdą wygląda, musimy dążyć do celu paniczu kochany, skoro tego życzy sobie szanowny nasz stryjaszek. Trzeba koniecznie utrzymywać go w dobrym humorze, bo tyleśmy Bogu dziękować długów narobili, mimo iż nam pieniędzy nigdy nie zabrakło, że włosy mu dębem staną na głowie!

Paweł westchnął głęboko.

— Gdybym wiedział przynajmniej, gdzie się te pieniądze podziały? — pokiwał głową miłosiernie. — Nie myślałem, żeby mogła z tego urość suma tak olbrzymia! Przeklęta lichwa i ci lichwiarze, te pijawki bez czci i wiary!

— A na czele szajki złodziejskiej któż stał, jak nie signor Bernardo? On jedynie ma nas na sumieniu! Ileż to razy prosiłem, przestrzegałem, ale ten bezbożnik drwił sobie tylko ze starego w oczy i po za oczy, a panicz uciekałeś odemnie, jak od zapowietrzonego, wierzyłeś łotrowi, jakby świętej Ewangelji, słuchałeś rad niegodziwych i...

— Na miły Bóg! oszczędź mi przynajmniej tych twoich kazań nieznośnych! Wiesz przecie, że to się na nic nie przyda.

— Słowa starego, jak pies wiernego sługi — stary potrząsł smętnie głową — idą na wiatr, wiem o tem dobrze! Ale jak się stryjaszek odezwie i wyjdzie z kazaniem, to nie będzie można wyśmiać i wydrwić słów jego. Jeżeli spyta o nasz pobyt we Włoszech i naszych kochanych przyjaciół, pewno prawdy przed nim nie zataję i nie będę w bawełnę owijał! Wsypie po-

rządną burę niezawodnie, ale to nam na zdrowie wyjdzie paniczu!

— Ty bo jeszcze cieszysz się z mojej biedy, stary nudziarzu! — rzucił się Paweł gniewnie. — Ani się mi waż cokolwiek z moich włoskich przygód stryjowi opowiadać. I bez tego, jest dla mnie najwidoczniej bardzo źle usposobiony. Ale po cóż ja się tem tak alteruję! Wielkie pytanie, czy będzie ci dozwolonem, oglądać jego oblicze. O ile wiem, obcy nie mają zupełnie do niego przystępu.

Stary Arnold oczy wytrzeszczył, jakby własnym uszom nie dowierzał. Jakto? On by miał być za obcego uważany? on! od wyrostka do siwych włosów, przez pół wieku służący domowi Werdenfels'ów? On, piastun, przez samą matkę umierającą postanowiony na straży, przy boku jej ukochanego jedynaka? On, który uważał się niejako za członka rodziny i wszystko, co się jego młodego pana tyczyło, za n a s z e poczytywał, on by nie miał widzieć głowy domu Werdenfels'ów, nie miałby z ust własnych ordynata usłyszeć pochwały, za gorliwość i troskliwość około dobra panicza i być przez barona Rajmunda nadal w przywilejach swoich *quasi* ojcowskich w obec Pawła utrzymanym i zatwierdzonym? To byłoby czemś niesłychanem i niepodobnem! Jakkolwiek ordynat ma być wielkim dziwakiem, do tego stopnia nie śmiałby podeptać wszelkich wielkiego rodu swojego tradycji!

Młody baron spuścił tymczasem okno w karetce i głowę wystawił. Nie zobaczył nic innego na razie, jak to, co mu się od dwóch godzin bezustannie po przed oczy przesuwało. Mianowicie: nagie skał bryły, po nad głową groźnie zawieszone, od czasu do czasu ponury bór drzew iglastych, spowity mgłą gęstą niemal po same wierzchołki, i źródeł kaskady, z szumem i łoskotem po kamieniach w otchłań spadające. Na koniec wyłoniły się z chmur i mgły, kontury jakiegoś zamczyska potężnego, aby zniknąć mu z oczu w tej samej chwili na drogi zakręcie, która wiła się na sam wierzch w ślimaka, dla jakiego takiego bezpieczeństwa.

— No! dojeżdżamy wreszcie do tej dziury przeklętej! — odetchnął wolniej młody baron. — Myślałem, że już nigdy jej nie zobaczymy! Żeby choć było gdzie mieszkać w tej nędznej ruinie! Nader miła perspektywa, na takie zimno znaleść się w murach ciekących od wilgoci, z rozpadlinami pełnemi mchu i innych pasożytów, w których wylęgają się gdzieś krociami ropuchy i jaszczurki jadowite!

— Na rany Chrystusowe! — załamał ręce Arnold — czy panicz tak mówisz na serjo? Taż to była by okropność!

— Ba! ale coś oryginalnego! a mój godny stryjaszek przedewszystkiem goni za oryginalnością! Skoro sam żyje w tej pustyni, otoczony tak dobranem towarzystwem, dla czegoż by nie miał gości zaproszonych na to samo skazać! Ja bo na wszystko jestem przygotowany! Jeżeli nam każą spać na posłaniu z iglic sosnowych, a będą nas karmili leśnemi suszonemi owocami i poili wodą ze śniegu, to nawet wtedy nie... Ach! otóż i Felseneck przed nami!

Wykrzyknik ostatni zdradzał tak wielkie zdziwienie, iż stary Arnold poszedł tym razem za przykładem panicza i czem prędzej głowę wytknął ze strony przeciwnej. Powóz skręcał właśnie w bramę dziedzińca obszernego, a przed ich wzrokiem zdumionym wznosił się zamek, nie odpowiadający co prawda bynajmniej ich wyobrażeniom i obawom.

Po nad chmury niemal bujały wieże, wieżyczki i płaskie dachy miedzią pobite pysznego zamczyska, przypominającego wprawdzie czasy średniowieczne, ale tylko czystością stylu gotyckiego. Wielkie szyby źwierciadlane w oknach błyszczące, jakoteż inne ozdoby, zdradzały wytworny gust nowoczesny. Odbijając nader korzystnie od tła ciemnego skał i świerków, stał zamek samotny, niemal w obłokach zawieszony, dziwnie jednak majestatyczny, imponujący swoim ogromem, jednem słowem prawdziwa pańska siedziba!

— No! dzięki Bogu! — mruknął Arnold z zadowoleniem — toż to wcale po ludzku wygląda!

— Pyszna budowa! — krzyknął Paweł, zapalając się nagle ze zwykłą sobie wrażliwością. — Stryj Rajmund cudów dokazał, przemieniając stare, na pół zawalone szatro, w cos tak pięknego! Z lat dziecięcych jak przez sen sobie przypominam tę dziką ruinę, która mnię dreszczem trwogi przejmowała. Ależ to musiało ładną sumkę pochłonąć! Wspaniałe! nie ma co mówić!

W zamku spostrzeżono zapewne przyjeżdżających, gdyż i brama wjazdowa, i drzwi ciężkie, dębowe, pysznie rzeźbione i stalą okute, a do sieni zamkowych prowadzące, czekały na oścież roztwarte. Powóz ku stajniom zawrócił, które również imponująco prezentowały się, łącząc się w całość harmonijną z głównym budynkiem, jak i z murem, upstrzonym wieżyczkami, strzelnicami, mostem zwodzonym i tym podobnemi ozdobami, żywo przypominającemi epokę średniowieczną. Wnętrze zamku okazało także wszelki komfort tegoczesny, wyglądając według wyrażenia się Arnolda — po ludzku. Dwóch lokai w liberji czekało u drzwi wchodowych, a na wschodach stał marszałek dworu, starzec siwowłosy, ubrany czarno, najstaranniej, według reguł na wielkim świecie przyjętych. Przedstawił się młodemu baronowi, przyjmując go i witając w imieniu pana swojego, z najwyższem uszanowaniem. Wprowadził Pawła natychmiast do dwóch obszernych pokoi, urządzonych elegancko, z którymi łączyła się mała alkowa, dla Arnolda przeznaczona. Apartament znajdował się w prawem skrzydle zamku, a chociaż nie brakowało tu niczego do wygody, czuło się instynktowo, iż dotąd pokoje te pustką stały. Służba znosząca kufry i pakunki, chodziła na palcach, otwierając i zamykając drzwi prawie bez szelestu, sam zaś marszałek mówił tak cicho, iż zrazu Paweł nie mógł go zrozumieć, gdy pytał z niskim ukłonem: „Czy pan baron nie ma dla niego jakich specjalnych rozkazów?"

— Życzę sobie przedewszystkiem innem — młody

człowiek żywo odrzucił — zobaczyć stryja mojego. Uwiadomiłem go telegraficznie o dniu i godzinie powrotu, spodziewam się zatem, iż mnie oczekuje. Chciej pan drogę mi wskazać.

— Chwilowo jest to niepodobieństwem — marszałek skłonił się powtórnie głos jeszcze więcej przyciszając. — Jaśnie pan spi.

— Jakto w południe? — Paweł rzucił okiem na piękny zegar stojący, który właśnie godzinę dwunastą wskazywał. — Czyż byłby chorym?

— O! zachowaj Boże! Jaśnie pan budzi się dopiero popołudniu, gdyż w nocy zwykł czuwać i chodzić.

— O tem nic a nic nie wiedziałem! – Paweł potrząsł głową osłupiały. — Ha! muszę zatem czekać aż do godziny objadowej.

— Przykro mi bardzo... ale jaśnie pan sam zawsze jada.

— Nawet teraz gdy ma gościa?!

Marszałek ściągnął nieznacznie ramionami.

— Taki rozkaz odebrałem, abym panu baronowi nakrył osobno.

— Tak?!... No, to proszę przynajmniej zameldować mój przyjazd stryjowi, gdy raczy się wreszcie obudzić!

Ton, jakim słowa ostatnie wymówił, był gorzki i pełen zjadliwej ironji, w twarzy starca jednak ani jeden rys się nie zmienił, pozostała obojętną jak kartka czystego papieru.

— I tego zlecenia spełnić nie mogę, póki jaśnie pan sam nie zapyta. Nikomu niewolno wejść do jaśnie pana niewezwanym.

— Więc i pan nie śmiesz wejść do stryja? — Paweł zmierzył okiem starca, który przynajmniej tyle lat musiał być przy boku ordynata, ile Arnold spędził w domu jego rodziców.

— I ja nie wchodzę, aż gdy jaśnie pan zadzwoni. Rozkaz brzmi dla nas wszystkich jednakowo. Czy mogę teraz podać śniadanie panu baronowi?

— Podawaj pan! cóż robić! — Paweł schylił głowę z rezygnacją. Zaledwie atoli drzwi się zamknęły za wychodzącym marszałkiem, upadł na jeden z foteli, wybuchając śmiechem homerycznym.

— Ha! ha! ha! Toż się będę bawił paradnie! Przy wszystkich zasiadach jestem więc skazany li na towarzystwo z mojem własnem ja! Mam zaś na tyle wrodzonej skromności, żeby coś podobnego uważać za rzecz nudną śmiertelnie! Ha! ha! ha! jakżeś ty się skrzywił pociesznie stary! Czyż cię nie uprzedziłem, że tutaj musimy być na wszystko przygotowani?!

Arnold stał dotąd na jednem miejscu, jakby wrósł nagle w posadzkę. Położył wreszcie na krześle torbę podróżną, i odzyskując powoli przytomność, zbliżył się do Pawła.

— A więc nasz stryjcio szanowny spi w dzień? — spytał cicho.

— A tłucze się po nocy jak Marek po piekle! — Paweł zżymnął pogardliwie ramionami. — I ja się tak na przyszłość urządzę! Jeść i spać, to jedyna przyjemność życia w tej dziurze przeklętej! Każdy, nie tylko mój luby stryjaszek, musi tutaj zdziczeć jak niedźwiedź prawdziwy!

— Paniczu! — wtrącił Arnold z naciskiem. — Nie godzi się mówić w taki sposób lekceważący, o głowie wielkiego rodu Werdenfelsów, choćby nawet... — zapukał w czoło znacząco.

— Szczególnie, gdy ta głowa posiada wszelkie właściwości puhacza! — rzucił się młody baron niecierpliwie, bynajmniej nie troszcząc się o zdanie staruszka. — Ale teraz odnieś torbę do sypialni i postaraj się o śniadanie. Na susz leśny i wodę źródlaną nie będziemy, o ile się zdaje, ograniczeni, nie mniej jednak smutnemi będą dla mnie te samotne zasiady!

Sprawdziły się co do joty obie przepowiednie. Lokaje wnieśli na dwóch srebrnych tacach śniadanie lukullusowe; Paweł jadł znakomicie, pił jeszcze lepiej, nudził się przytem śmiertelnie i ziewał — jak to mówią — od ucha do ucha! Popatrzył wreszcie na zegar, wyrachowując ile mu jeszcze zostanie dni i godzin do przespania i przeziewania z owego tygodnia, który musi dla samej przyzwoitości, po tak długiem rozłączeniu ze stryjem przepędzić. Sześćdziesiąt siedm minut minęło tymczasem... dobre i to na początek!

Po śniadaniu udał się Paweł na oględziny całego zamczyska, do czego sędziwy marszałek okazał wszelką gotowość. Przechodził z jednej sali do drugiej, a mimo przepychu iście królewskiego, który wszędzie zastawał, serce mu się dziwnie ściskało, krew mrozem ścinała wśród tej ciszy głuchej i ponurej, z przewodnikiem snującym się cicho, jakby doprawdy był duchem a nie człowiekiem, odpowiadającym grzecznie na jego zapytania, ale jak najkróciej i jak najzwięźlej, nie dodając ani słówka od siebie.

Wszystkie komnaty wyglądały niby pyszne Mauzolea, w których nigdy noga żywych nie postała.

Stadnina była doborowa. Z tuzin masztalerzy i pachołków, było jedynie zajętych czyszczeniem i przejeżdżaniem wierzchowców pełnej krwi, których sam właściciel nigdy nie używał. Tak samo działo się z liczną psów sforą, tak samo ze służbowym personalem. Wszystko było na pańską skalę urządzone, a ten jeden, którego to się niby tyczyło, nie używał, nawet nie zaglądnął do psów, do koni, nie wzywał miesiącami nikogo z licznej służby!

Ordynat Werdenfels zamieszkiwał jedną z wież na lewem skrzydle, którą jedynie ząb czasu był oszczędził i tylko wewnątrz urządzono ją z komfortem nowoczesnym. Mury olbrzymiej grubości sięgały czasów średniowiecznych, i były też szarą pleśnią i mchem porosłe. W zamku na nowo odbudowanym, nigdy noga barona Rajmunda nie postała. Gdy czasem konno wyjeżdżał, używał niezmiennie jednego wierzchowca ulubionego, tak samo jak do załatwiania spraw wszelkich wzywał tylko marszałka, a do osobistej usługi Jaśka, chłopaka, sierotę, który od dziecka chował się w Felseneck. Dla reszty otoczenia był po największej czę-

*

ści niewidzialnym. Słówko po słówku wydobywszy te szczegóły z milczącego starca, Paweł powziął najmocniejsze przekonanie, iż tak zamek w Felseneck, jak i tegoż właściciel, są pod wpływem jakiegoś zaklęcia tajemniczego. i trzeba jak najprędzej wynosić się z tych miejsc niebezpiecznych, aby nie wpaść w te same sidła i nie podzielić losu smutnego pana na Weldenfelsie!

Usposobienie ponure i niepokój młodego człowieka, wzrastały z każdą minutą. Im bliższą była chwila, w której miał stryja zobaczyć, tem przykrzejszem stawało się uczucie, kamieniem na sercu ciężące. Teraz dziwactwa odludka zupełnie mu się inaczej przedstawiały, budząc niemal strach dziecinny, zamiast śmiechu, którym zrazu wybuchnął. Jak go też przywita ten zdeklarowany nieprzyjaciel całej ludzkości, unikający nawet widoku sług własnych? Daremnie starał się odnowić w pamięci obraz dokładny tego człowieka, którego widział raz jeden, jedyny, przed laty dziesięciu, kiedy zaledwie z dziecka wyrastał, i gdy nagła śmierć ojca ukochanego, boleść pierwsza w życiu doświadczona, zmysły niemal mąciła biednemu sierocie.

Wtedy przybył wprawdzie ordynat Werdenfels na pogrzeb brata stryjecznego, przyjął tytuł opiekuna nad wyrostkiem, i najczulej zajął się wdową nieszczęśliwą, którą mąż prawie w nędzy zostawiał. Wyznaczywszy bratowej bardzo znaczną roczną rentę, odjechał po dniach kilku, i odtąd nie wiele się już troszczył o powierzonego mu sądownie pupila. Po śmierci matki renta przeszła na syna, co wcale nie wyszło na korzyść młodego chłopca Przyzwyczaił się żyć po pańsku, cudzym kosztem, gdyż sam nic nie posiadał i nie nauczył się również na chleb zapracować. Tak więc samo chcąc, zrobił się zawisłym zupełnie od łaski i hojności stryja.

Przez dłuższy czas nie nadużywał przynajmniej wspaniałomyślności ordynata, wydając tylko pieniądze raz na zawsze dla niego przeznaczone. Zmieniło to się dopiero we Włoszech, dzięki złemu towarzystwu karciarzy i libertynów, którzy po prostu wyzyskiwali jego niedoświadczenie i łatwowierność, namawiając do rozmaitych wybryków i szalonej rozrzutności, czego teraz dopiero zaczynał na serjo żałować. Myślał ze strachem o sumie olbrzymiej, którą trzebaby koniecznie zapłacić, a w takich chwilach wstydu i niemal rozpaczy, przeklinał na czem świat stoi wesołych kompanów, a przed innymi łotra Bernarda, przyznając w duchu słuszność zupełną staremu, poczciwemu Arnoldowi, który Włocha przebiegłego po prostu rabusiem nazywał. Jakkolwiek Paweł był jeszcze dotąd bardzo młody i bardzo lekkomyślny, czuł głęboko straszliwe swoje poniżenie, gdy będzie musiał przyznać się do wszystkiego człowiekowi prawie mu obcemu, który i tak już od lat tylu matkę i syna obsypywał szczodrą dłonią, był ich prawdziwym i najszlachetniejszym dobrodziejem. Byłby chętnie oddał dziesięć lat życia własnego, żeby kto inny, a nie on wziął na siebie to wyznanie i przebył tę chwilę złowrogą.

Wreszcie około trzeciej godziny wszedł już nie sam marszałek, lecz znacznie od tamtego młodszy kamerdyner, z oznajmieniem: „Iż jaśnie pan pragnie widzieć pana barona.“

I kamerdyner, chociaż był jeszcze w sile wieku, zdawał się być wiernem odbiciem marszałka. Tak samo grzeczny, cichy, milczący, nigdy się nie odezwał nie zapytany, a i wtedy odpowiadał najczęściej przez „tak“ lub „nie“. Rozmaitemi gankami, korytarzami, galerjami, dostali się nakoniec do wieży narożnej, i weszli schodkami kręconemi na pierwsze piętro do małego przedpokoju, a ztamtąd do większej sklepionej komnaty, do której drzwi otworzywszy, kamerdyner natychmiast się ulotnił.

Paweł oglądnął się w koło. na poły z trwogą, na poły z ciekawością. Dotąd był jeszcze sam, mógł więc wszystko zbadać dokładnie. I tu jednak czekał go zawód, jak pod każdym innym względem, co do Felseneck. Komnata na oko wyglądała całkiem pospolicie, o wiele tylko skromniej umeblowana, niż reszta apartamentów i sal zamkowych. Znawca atoli byłby się poznał od razu, na wielkiej wartości boazerji z dęba surowego, misternie wyrzynanej, która ściany pokrywała, byłby ocenił meble, stanowiące, każdy z osobna, niemal dzieło sztuki snycerskiej, byłaby mu nawet zaimponowała pyszna materja ljońska, jasno fioletowa, na meblach i portjerach, ze złotą frenzlą i złotemi bortami, w kwiaty tego samego koloru, z aksamitu wyciskane. Ciemny kobierzec, z prawdziwej angielskiej Moquetté'y, posadzkę całą przykrywał. Dwa okna głęboko w mur wpuszczone, mimo szyb dużych, kryształowych, skąpe tylko światło rzucały; pomiędzy niemi były drzwi, również szklanne do połowy, prowadzące na balkon obszerny, z którego można było podziwiać skały piętrzące się jedna nad drugą, aż do najwyższych szczytów, wiecznym śniegiem i lodem okrytych. Ponurość tego pokoju, grozę tego dziwnego krajobrazu, pomnażało jeszcze powietrze dżdżyste, mgliste, prawdziwie jesienne, i noc zapadająca, mimo tak wczesnej godziny popołudniowej.

Tak samo cicho, jak za nim drzwi się zamknęły, otworzyły się drugie naprzeciw tamtych, i wszedł niemi ordynat Werdenfels. Paweł szybko pobiegł na spotkanie kuzyna, chociaż z sercem gwałtownie bijącem, i podczas gdy mu niski ukłon oddawał, wzrok jego badał ciekawie rysy odludka, który stał się bohaterem legend, na przestrzeni kilkudziesięciu mil, na ucho cichutko opowiadanych.

Przed nim stał mężczyzna postawy wyniosłej, budowy ciała szczupłej, ubrany skromnie ale wytwornie, który również, jak i całe jego otoczenie, nie zdradzał w niczem osławionego dziwaka. Co w nim najprzód uderzało, to nadzwyczajne podobieństwo familijne z młodszym kuzynem. Doskonałość i delikatność linji była ta sama w jednej jak w drugiej twarzy, wyrazem jednak różniły się o całe niebo!

Ordynat był ciemnym szatynem, a i źrenice jego

fiołkowe, były o wiele głębsze, niż oczy turkusowe Pawła. W rysach zaś malowało się to wszystko, czego brakowało dotąd młodemu człowiekowi. Czoło wprawdzie było już poorane grubemi zmarszczkami, a twarz blada, cery żółtawej, chorobliwej, daleką była od owego puszku świeżości młodocianej, który okrywał pełne lica Pawła, na głowie zaś i w gęstej, ciemnej brodzie, przebijały już gdzie niegdzie srebrne niteczki. Oczy były duże, zagadkowe, przyćmione smętną zadumą, i zdawały się raczej patrzyć w głąb duszy, lub wywoływać w pamięci obrazy z przeszłości minionej bezpowrotnie, niż żeby miały zwracać się ku przedmiotom zewnętrznym i badać teraźniejszość. Odczuwało się jednak instynktowo, jak musiały być pięknemi te oczy, dziś na pół zamarłe, gdy niegdyś rozmarzone, upojone, promieniały ogniem miłości, rwąc się do życia, roskoszy! Obecnie czytało się tylko w źrenicach zamglonych, wielkie, głębokie zmęczenie i zniechęcenie, a słaba iskierka w nich tlejąca, przypominała zgliszcza gasnące pod całunem szarego popiołu.

— Cieszę się, widząc cię Pawle, po tylu latach — przemówił ordynat głosem dźwięcznym choć przyciszonym, wyciągając dłoń do kuzyna — i witam w progach moich.

Młody człowiek nie mógł zapanować nad dziwnym niepokojem, który oddech mu niemal w piersi tamował. Fantazja jego przedstawiała mu zupełnie inaczej dziwaka, odludka, tymczasem postać ta wyniosła, ubrana wytwornie i podług mody ostatniej, zaimponowała mu nie lada, zimnym spokojem, pańskim tonem i naturalną swobodą w obejściu. Nie spodziewał się nigdy być tak po prostu przyjętym! W najwyższym stopniu zmięszany, onieśmielony, on król szyku i mody, stał teraz z nogi na nogę przestępując i bąkał coś niezrozumiale, jak student, który się lekcji nie nauczył: „o wielkiem szczęściu... przyjemności... pragnieniu, żeby mu było dozwolonem podziękować osobiście łaskawemu stryjowi za tyle dobrodziejstw z jego ręki odebranych, za co nie omieszka być mu wdzięcznym do skonu!...“ Ordynat atoli nie zdawał się ani wzruszonym, ani zachwyconym, owym wylewem czułości, pominął milczeniem tak „wielkie szczęście“ jak i „wielką wdzięczność,“ usiadł na fotelu najbliższym, ruchem obojętnym wskazując drugi fotel naprzeciw siebie Pawłowi.

— Musiałeś zdziwić się nie mało — ordynat rozpoczął rozmowę — ujrzawszy Felseneck w tej nowej postaci? Pamiętam dotąd, jak cię dzieckiem przerażały te ponure, zielskiem obrosłe ruiny.

— Podziwiam istotnie — Paweł tym razem otrząsł się z nieśmiałości i mówił z całą szczerością i młodzieńczym zapałem — podziwiam cudo piękności, które udało się stryjowi stworzyć niejako z owej niekształtnej masy szarych kamieni. Jak sen złowrogi one w mojej pamięci pozostały. Niby Feniks z popiołów wzniósł się i chmur dumnym czołem dosięga zamek rycerski, w całej stylu czystości i w całym dawnym majestacie!

— To prawda, iż starałem się o ile możności odgadnąć z kilku resztek pozostałych dawny charakter budowy. Użyłem do tego najbieglejszych budowniczych, siły pierwszorzędne. Trwało to jednak latami i dopiero przeszłej jesieni wszelkie roboty około zamku zostały ukończone.

— A mimo tego stryj dobrodziej mieszka stale w baszcie narożnej, która jedna nietkniętą pozostała z dawnego zamczyska.

— I nie myślę wcale ztąd się wyprowadzić.

— Dlaczegoż zamek odbudowywano, skoro ani stryj, ani inni nie mają go zamieszkiwać? — spytał Paweł zdziwiony.

— Dlaczego? — powtórzył ordynat tonem obojętnym. — Po prostu... dla zabawki! Trzeba przecież mieć jakieś w życiu zajęcie, czemś czas zabijać! Szkoda tylko wielka, iż taka budowa dopóty nas bawi i zajmuje, póki jej nie dokończą... Teraz, gdy zamek stoi gotów, przestałem się nim zupełnie interesować.

Paweł osłupiał i oniemiał, usłyszawszy podobne oświadczenie. Na to więc stryj krocie wyrzucił, aby zbudować coś, czem się dziś ani cieszy, ani nawet okiem na to nie rzuci!

— Jest to niezaprzeczenie królewska siedziba, którą sobie stryj stworzył, w tych górach dzikich i niedostępnych — wycedził Paweł, na nowo zbity z tropu. — Musi stryj zapewne lubić namiętnie przechadzki po górach, i wdzieranie się na ich szczyty najwyższe?

— Wcale nie... brak zdrowia nie pozwala mi na coś podobnego.

— A więc nęcą stryja polowania?... Góry muszą obfitować w grubego zwierza i...

— Nigdy nie poluję.

— Może studja astronomiczne?... Niegdyś, o ile sobie przypominam, stryj zajmował się gorliwie astronomją i mineralogią?...

Ordynat potrząsł głową.

— Dawniej istotnie byłem zapalonym astronomem i przyrodnikiem. Obecnie dałem pokój wszystkiemu. Dla profana, dyletanta, nauki podobne stają się z czasem zanadto trudne, zbyt nużące...

— Ależ na miły Bóg! — Paweł ręce załamał — pocóż zatem mieszkać w chmurach? Dlaczego, mając tyle innych zamków i pałaców, wybrać sobie tę siedzibę, od reszty świata morzem skał niedostępnych oddzieloną?!

— Właśnie dlatego, że czuję się wśród tych gór i skał samotny, i od zetknięcia z ludźmi zabezpieczony — odrzucił ordynat najspokojniej.

Powstał, a otwierając na oścież drzwi balkonowe cicho zapytał:

— Może zechcesz spojrzeć Pawle na ten widok przepyszny? Z twoich okien widać dolinę i miasteczko P. Ztąd możesz tylko podziwiać w całej pełni nasze góry, z ich szczytami zakapturzonemi, który wieczny lód i śnieg pokrywa.

Paweł usłuchał wezwania. Niebo cokolwiek się pod

wieczór wyjaśniło, chmury pędziły wprawdzie, uderzając o gór szczyty, mgła jednak w dół opadała, i szczyty blaskiem purpurowym jaśniały od zachodu. Z balkonu wzrok tonął w samej rzeczy — jak się przedtem Paweł wyraził — w morzu skamieniałem. Skały i skały, piętrzyły się jedne nad drugiemi, niby wzburzone bałwany, nie brakowało i szumu fal morskich, boć liczne źródliska, od szczytów w otchłań bezdenną po kamieniach spadające, naśladowały doskonale łoskot i huk burzy na morzu. Jak daleko okiem zasięgnął, nigdzie nie było ludzkiej siedziby, nigdzie dym się nie wznosił z komina, nigdzie znaku pługa i brony, tylko naga, mglista, skalista przyroda, piękna wprawdzie w swoim dzikim majestacie, ale grozą przejmująca, ścinająca krew mrozem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

W ciągu dnia najwięksi artyści, panowie najdostojniejsi, odbywali formalną procesję do hotelu, aby złożyć hołd należny u stóp *l'Ombry* niezrównanej. Wszyscy atoli znaleźli drzwi zamknięte. Oddano jej setki biletów wizytowych... Jakże atoli odkryć wśród tłumu nazwisko tego, którego jedynie poznać pragnęła? Jeden bilet ją uderzył, z innej jednak zupełnie przyczyny, niż myśl, którą była wyłącznie zajętą. Na bilecie stało nazwisko księcia Whitefield, wnuka ciotecznego lorda Stève. To ją rozśmieszyło. Lord angielski ani się domyśla, że *l'Ombra* jest jego babką! Zawałoła Barini'ego.

— Mistrzu kochany, popatrz na ten bilet i dowiedz się, czy to nie wnuk cioteczny mojego męża najdroższego?... Jeżeli mnię kiedy pozna po za sceną, co też sobie pomyśli?

— Dzięki Bogu! poznać cię nie może!... Nie śpiewaj mu jednak nigdy, gdyby miał się kiedy zjawić w Alpino, bo na świecie niema dwóch takich głosów!

— Idź do ambasady angielskiej... Myślę, iż książe pozostanie obcym dla mnie, mimo, iż stosunek z matką jego, jest wcale przyjacielski. W listach, które do siebie pisujemy, księżna okazuje mi szczerą przychylność. Masz jednak słuszność, iż blada i jasnowłosa lady Stève, w niczem nie podobna do smagłej i czarnowłosej *l'Ombry*.

— Biegnę natychmiast!

Barini ku drzwiom zmierzał.

— Zaczekaj... — skinęła ręką lekko zarumieniona — nie uważałeś w sali pomiędzy widzami, młodzieńca smukłego, postawy wyniosłej, z dużem, ciemnem okiem, z jasnym włosem i takiemiż bokobrodami? Siedział w pierwszym rzędzie przy orkiestrze.

— Czy ja mogłem widzieć kogokolwiek! — wzruszył staruszek ramionami — Tak w Medjolanie, jak i tutaj, w ciebie jak w tęczę patrzyłem!

— Jestem pewną, że to musi być jakiś artysta znakomity, z tak głębokiem przejęciem i zrozumieniem słuchał cudownej muzyki V***. Nie mógł byś się dowiedzieć kto to taki?

— Czyste niepodobieństwo *carissima*! Pomyśl, jaki tłum salę napełniał. A teraz lecę do ambasady.

Wróciwszy, zapewnił Erminję, iż książe Whitefield jest istotnie krewnym jedynym lorda Stève, ordynatem w zamku Stèveville.

Przedstawienia następowały jedno po drugiem. Nigdy jeszcze nie widziano w Wiedniu podobnego entuzjazmu, żadna artystka nie święciła tryumfu tak niesłychanego. *L'Ombra* atoli, jednego tylko widziała w sali przepełnionej i szalejącej uniesieniem, tego bladego i milczącego młodzieńca, którego jednak spojrzenia namiętne krew jej rozgrzewały, dla którego wyłącznie śpiewała, który był jej natchnieniem.

Wiele razy wywoływano na końcu artystkę, wychodziła zawsze z bukietem kameljowym w ręku...

— Skoro jestem nie do poznania, dla czegoż nie miałabym przyjmować tych, którzy przychodzą mnię odwidzać? — przemówiła raz do jedynego swojego przyjaciela.

— To być nie może — odpowiedział Barini. — Idzie mi głównie o godność twoją, o względy tobie należne. Mogłabyś usłyszeć wyrazy niestosowne. Nie chcę, żeby ktokolwiek zbliżał się do ciebie, dość, jeżeli będą cię z daleka słuchali i podziwiali.

Godziny wlokły się leniwo, dla wolnej jak ptak i samowładnej pani w Alpino. Ciężyło jej duszne powietrze hotelowe. Potrzebowała szerszego widnokręgu. Wykradała się więc w karecie zamkniętej po za miasto ze swoim starym przyjacielem, który natychmiast spuszczał jej welon, skoro zdaleka zoczył kogo obcego. Niedługo i te przejażdżki znudziły Erminję... Błądziła po pokojach, zmęczona brakiem zajęcia, upadając pod ciężarem jednej i tej samej myśli.

Patrzyła raz, firankę uchyliwszy, na wielki plac przed hotelem, jaskrawo słońcem oświetlony... Cóż ją obchodzi ten tłum snujący się, ten rząd pałaców, te pyszne magazyny? Ona j e g o by tylko widzieć chciała! Smutno jej dzień za dniem upływał, a jednak radaby była zatrzymać bieg czasu... Wszak skoro skończą się jej występy, odjedzie, straci znowu z oczu tego widza jedynego. z którym łączył ją stosunek idealny, spólność uczuć w zamiłowaniu boskiej muzyki... a może i uczucie czulsze... więcej osobiste... miłość niema i bez nadziei, bo że on ją kocha, czyż mogła wątpić?!

Nagle spostrzegła tego, który myśli jej wyłącznie zajmował. Stał nieruchomy, wpatrując się w okna hotelu. Serduszko dziecka niewinnego zaczęło bić jak młotem, rwąc się gwałtownie do zjawiska niespodziewanego. Pod zasłoną firanki, nie odwracała oczu od postaci ukochanej. Nie śmiała mu się pokazać, a jednak chciałaby była dać mu znak życia. Uszczknęła kwiat kamelji białej z bukietu ostatniego i rzuciła,

okno odchyliwszy, temu, od którego bukiet pochodził. Cała krwią oblana uciekła od okna, przerażona własną zuchwałością. Gdy po chwili na dawne miejsce wróciła, młodzieńca już nie było, ale kwiatka na bruku nie zostawił.

L'Ombra ostatniego wieczora przeszła sama siebie; głos jej przenikał do głębi... Ból prawdziwy dawał jej tę potęgę, łzy do óczu się cisnęły, a gwałtem napowrót wepchnięte, w tony się przelewały. Jej pożegnanie z życiem serce rozdzierało, bo też żegnała istotnie szczęście przelotne, zrodzone przy blasku kinkietów, na które nie padł nigdy promień słońca ożywczy. Po raz ostatni podniosła bukiet z kamelji, i szybko, bezwiednie, do piersi przycisnęła, skinąwszy głową nieznacznie na pożegnanie temu, który rzucał go zawsze, a którego nie miała nadziei widzieć więcej.

Kończył się sen czarowny; z serc wszystkich tylko jednemu jej serce odpowiadało wzajemnością. Tryumfy drogo opłacała, odjeżdżając z raną głęboką, z której nic jej nie mogło wyleczyć, nic po stracie bolesnej pocieszyć.

Rozdrażniona hałaśliwemi owacjami, uciekła przed niemi czemprędzej, chroniąc się do hotelu, gdzie znalazłszy się samą, wybuchnęła płaczem spazmatycznym.

Nie zobaczy więc już nigdy tych oczu promienistych, wlepionych w nią z ogniem namiętnym, który ją na wskróś przenikał podczas godzin czarownych, kiedy na skrzydłach sztuki i miłości, ulatywała w sfery nieziemskie! Czyż musi wyrzec się na zawsze uczucia tak nowego, a tak roskosznego? Dotąd znała tylko spokojne przywiązanie rodzinne. Nagle całą jej istotę opanowała namiętność potężna, żywa, młoda, zwiększona jeszcze przeszkodami, i ma zamknąć ją w sercu na zawsze, pogrążyć się na wieki w ponurej samotności? Po olśniewającym blasku słonecznym, noc wiekuista! po najmilszej obecności ukochanego, bolesna rozłąka! Cios był za silny dla tej duszy młodocianej. Czy ten, którego obraz w sercu uwozi, będzie również o niej pamiętać? Przyszła jej myśl dać mu się poznać, czyż wiedziała atoli kto to taki?... a choćby! wstrzymywał ją wstyd dziwny, instynktowy, żeby nie wystawiać na sztych nazwisk szanowanych powszechnie książąt Sanseverone'ów i lordów Stève. Musi więc zniknąć, nie zostawiwszy śladu po sobie, tylko z wieczną po nim tęsknotą!... Przycisnęła bukiet do ust, skrapiając go łzami i obsypując namiętnemi pocałunkami... gdy coś pod ust dotknięciem zaszeleściało... Był to papier cieniutki, zwinięty w trąbkę i zręcznie pod kwiatami ukryty... Oto co zawierał:

„Signora!“

„Codzień byłem u drzwi twoich, aby mieć zaszczyt najwyższy, złożenia ustnie u stóp twoich hołdu najgłębszego, aby wyrazić ci mój zachwyt. Cała twoja postać zdradza niezwykłą szlachetność i czystość duszy. Nie wiedząc kim jesteś, składam ci w ofierze serce wraz z ręką moją i pragnę życie całe tobie poświęcić.

Willjam Whitefield.“

— On!... więc to on był?!... — krzyknęła Erminja drżąca jak liść osiki, a ciszej dodała:

— Zobaczymy się więc jeszcze!

Bez tchu, blada śmiertelnie, rozerwała okno, aby zaczerpnąć w pierś ścieśnioną świeżego powietrza. Za późno było, aby mogła go dziś jeszcze zobaczyć, opowiedziała tylko gwiazdom o szczęściu swojem, posłała sennemu całą duszę, dziękowała Bogu, że jest młodą, piękną, godną nosić nazwisko, które usta jej drgające powtarzały bez końca, które zdawało jej się, że czyta wypisane gwiazdami promienistemi na stropie niebieskim.

V.

Znużonej tryumfami, nieumiejącej zdać sobie sprawy z gorączkowego niepokoju, który ją ogarnął, zrazu cisza uroczysta pałacu w Alpino, miłą niespodzianką wydała się Erminji. Miłość pierwsza jest czarodziejką, która potrafi zapełnić i największą samotność snami złotemi. Czyż potrzeba mnogich rozrywek, gdy najprzyjemniej gonić własne myśli, własne wspomnienia? Szczególniej gdy wszystko odpowiada i zwiastuje skutek pomyślny, urzeczywistnienie w przyszłości marzeń dotychczasowych! Cóż bo jej mogło przeszkodzić do poznania bliższego z księciem Whitefield? Pod tem wrażeniem stojąc na terasie pałacowej, podczas cudownych nocy włoskich, oblana łagodnem światłem księżycowem, brała niebo za powiernika myśli tajemnych i nadziei roskosznych, przywołując na pamięć każde słowo ukochanego. Czasem, jak gdyby mógł on usłyszeć, przelewała w tony nadmiar uczucia, głos jej rozlegał się w powietrzu czysty i dźwięczny, roznosząc cudowną pieśń miłości po borach i łąkach okolicznych. Ileż by jej zapłacono za każdą tych tonów perlistych kaskadę!

Można było posądzić lady Stève, gdy w milczeniu pogrążona patrzyła bezmyślnie w jakąś dal tajemniczą, podczas długich wieczorów, spędzanych sam na sam z Barinim, że się nudzi i tęskni za tryumfami nowemi, to też stary jej nauczyciel żałował w duchu, że jej dał zakosztować roskoszy odurzającej, jakiej doznaje się na deskach teatralnych.

— Genjusz nie może żyć w cieniu — powtarzał sobie zmartwiony — potrzebuje światła i rozgłosu. Minia smutną jest jak królowa na wygnaniu.

Gdy starzec tak się kłopotał, Erminja znajdowała, iż czas puścić się w drogę. Odpoczęła cokolwiek w Alpino, aby skupić myśli i dać czas księciu do powrotu. Musiał już napowrót do Anglji powrócić, ona zaś ma dość już swojego pałacu, ogrodu cudownego, sal przepysznych. Wszystko to więzieniem jej się być wydaje bez ukochanego. Jak ptak z klatki pragnie ulecieć w świat czemprędzej. Wiosna prawdziwa czeka ją tam, w jego ojczyźnie.

Pewnego ranka oświadczyła Barini'emu, iż wyjeżdża do Anglji.

— Do Anglji? — powtórzył przerażony, myśląc, iż

chce tam występować. — Nie, nie, *bambina*, nie mogę ci więcej pozwolić występów na scenie. Odgadli by wreszcie kim jesteś. Wszystkie pieniądze z przedstawień rozdane pomiędzy biednych muzykantów, twoje znikanie tajemnicze dało powód do mnóstwa plotek i komentarzy dziwacznych, podnieciło ciekawość publiczności... Zaczynają domyślać się, iż *L'Ombra* musi być wielką damą. Córka Sanseverone'ów nie może narażać się na podobną kompromitację. Dość uczyniłaś dla mojej sławy, skoro ogłoszono cię pierwszą na świecie całym artystką i...

— Ależ nie myślę bynajmniej o teatrze — przerwała słów potok staremu — pragnę tylko odwidzieć krewnych lorda Stève. Może zechcą wziąć mnie w opiekę... pomyśl, że prócz ciebie nie mam nikogo..

— A twój przyjaciel jedyny — dokończył smutno starzec — jest tylko skromnym artystą. Tak, tak, trzeba ci opiekunów, stosownych dla twojego stanowiska, pocóż jednak szukać ich tak daleko, w obcym kraju, skoro byliby uszczęśliwieni margrabina Sanseverone i jej syn, gdybyś...

— Nie, nie! — Erminja głową potrząsła — z tymi żaden stosunek mnie nie łączy. Przeciwnie z księżną Whitefield, dość często korespondujemy, wdzięczną mi jest, iż nie robiłam jej trudności, co do spadku po wuju, i zostawiłam wszystko, czego tylko zapragnęła. Dziękowała mi w liście najserdeczniej, dodając, iż chciałaby mnie poznać koniecznie.

— Ah! — westchnął biedny starzec — zapomniałem, że gdy mu skrzydełka urosną, ptak gniazdko zwykł opuszczać. Zresztą na cóż ja ci się przydać mogę? Nie umiem nic prócz mojej sztuki, a na tem polu niczego ci już udzielić nie potrafię. Przeszłaś mistrza twojego!... Twoje życie dopiero z pączka wystrzela, moje na schyłku... Jedź, jedź, mój ostatni jasny promyczku!...

Twarz Erminji zalała się łzami. Chciała przemówić, Barini jednak do słowa jej niedopuścił.

— Gdybyś tam nie miała znaleźć czci i podziwienia, na co w zupełności zasługujesz, wrócisz napowrót do państwa twojego i do sługi najprzywiązańszego, który cię ubóstwia i oddałby chętnie za ciebie ostatnią tlejącą w nim życia iskierkę. Nie płacz *carissima mia*, wiem, że umysł twój potrzebuje innego towarzystwa, niż mieć możesz ze starym, niedołężnym śpiewakiem. Nie posądzaj mnię dziecię o samolubstwo... jeżeli tylko będziesz zdala odemnie szczęśliwą, to i twój stary przyjaciel będzie zadowolony.

— Jedź ze mną! — rzuciła mu się na szyję z serdecznem wylaniem.

— *Regina mia*, powtarzam ci, iż jestem tylko prostaczkiem, synem ludu. Jeżeli książe uważał mnie za przyjaciela, to najprzód był anielsko dobry, a następnie czcił sztukę w mojej osobie. Włosi szanują artystów, bo ich rozumieją; Anglicy, to naród zimny, dumny, kupiecki; pogardzają artystami, bo sztuki ani kochać, ani pojąć nie potrafią. Byłbym tam nie na swojem miejscu. Mogliby zresztą poznać we mnie opiekuna *L'Ombry*. Marietta i Domenico pojadą z tobą. Będziesz mi opisywała twoje przyjemności, będę żył tylko twojem wspomnieniem, twojemi listami... O jedno cię tylko proszę, wróć nim umrę, aby mnie dłoń twoja oczy na wieczny sen zamknęła.

Erminja głośno załkała.

— Nie odjadę! — wykrzyknęła uniesiona szczerem przywiązaniem.

Czy byłaby wytrwała w poświęceniu, jest to bardzo wątpliwem, gdyż miłość bywa bezlitośną dla wszystkiego i wszystkich, którzy nie są jej przedmiotem.

— Nie powinienem mówić w ten sposób i ciebie dziecino rozdrażniać — zaczął znowu starzec. — Jedź spokojnie... będę szczęśliwy z twojej podróży, będę czytał listy twoje z najwyższem zajęciem... Osoba na twojem stanowisku musi zwidzieć trochę świata. Tylko *regina mia*, zanim odjedziesz musisz mi przyobiecać, więcej nawet, musisz mi przysiądz na jedno...

— Wszystko przyrzeknę najchętniej, byle cię tylko widzieć pocieszonym.

— Oto *carissima*, przysięgnij mi, że tam śpiewać nie będziesz.

— Mam nigdy nie śpiewać?! — krzyknęła przerażona. — Zmiłuj się! to tak prawie, jakbyś mi oddychać zabronił.

— Nie, nie, trzeba być ostrożną. Gdyby cię usłyszano, mogliby cię poznać. Gotowi by powiedzieć: to *L'Ombra*!

— I cóż by to szkodziło? — wzruszyła ramionami. — Talent nie jest zbrodnią przecież!

— Posłuchaj *cara mia*! — w tonie starca była powaga uroczysta — nie znam świata waszego, jestem tylko prostaczkiem, a jednak ostrzega mię instynkt tajemny, iż stanowisko twoje wobec tamtych byłoby skompromitowane. Wiesz, że książe Whitefield był w Wiedniu, powiedzieli mi to na pewno w ambasadzie, a przeczuwam, iż angielskie lady, mogłyby krytykować i szydzić z artystki...

— Jakżeś mógł w takim razie namawiać mnię do czegoś niezgodnego z mojem stanowiskiem, może nawet ubliżającego mojej godności?

— Nie masz się znowu czego wstydzić — jąkał się staruszek pomięszany — był to czyn niewinny, szlachetny... nie tylko cię nie zhańbił, ale przeciwnie, okrył sławą nieśmiertelną. Tylko, że to tam naród barbarzyński! Gdybym był przeczuwał, że zechcesz kiedyś Włochy opuścić, niebyłbym cię narażał na publiczne występy, nie mogłem atoli światła chować pod korzec, używać sam roskoszy słyszenia ciebie, kiedy talent twój genjalny wart podziwu świata całego! U nas sztuka jest niemal religją, tytułem do nieśmiertelności, szlachectwem, jest wyższą po nad wszelkie przesądy, musimy jednak uwzględniać zupełnie inne na tym punkcie wyobrażenie arystokracji angielskiej, która nazywa szaleństwem nasz zapał dla każdego talentu prawdziwego. Ich temperament różny od naszego; żyją, jak słyszałem,

w wiecznej mgle pogrążeni, my zaś kąpiemy się w blaskach słońca południowego; oni mają zimny rozsądek, my entuzjazm do szału częstokroć dochodzący; oni posiadają genjusz kupiecki, my poczucie piękna; oni płacą tylko artystów, my ich w dodatku ubóstwiamy. Jednem słowem — jak mawiał lord Stève — bożyszczem Londynu jest *cant*! co tłumaczy się inaczej przez pychę i zarozumiałość.

— Zgubiłeś mnie, zgubiłeś! — Erminja ręce załamała. — Jakże mogłam niezaufać twojej przezorności? Jesteś starcem, a ja dzieckiem niedoświadczonem, żyłeś po wielkich miastach, ja zaś byłam wiecznie w tym jednym pałacu zamknięta!... Posłuchałam jedynego przyjaciela, który mi został na świecie całym!...

— Zawiniłem, srodze zawiniłem! — uderzył się w piersi Barini — ale wszystko dotąd osłonięte tajemnicą, nikt nie wie kim jest *L'Ombra* i nikt wiedzieć nie będzie.

— Skazana żeby więcej w życiu nie śpiewać! Cóż mi zostanie? Boże mój, Boże! — szepnęła zalewając się łzami!

— Zaśpiewasz, gdy wrócisz do Alpino *carissima*.

— Nie! nie usłyszysz mnie więcej! — wybuchnęła gwałtownie zrozpaczona.

Przybity, ubezwładniony temi oczami pałającemi gniewem i gorączką, starzec schylił głowę, złożył ręce błagalnie, upadł tym razem na kolana, jęknąwszy boleśnie:

— Przebacz, przebacz nieszczęsnemu!

Ten widok rozbroił Erminję, podniosła starca z ziemi, i serdecznie uściskała.

— Mój mistrzu kochany! Mój poczciwy przyjacielu! — szepnęła ze zwykłą dobrocią i łagodnością. A przypomniawszy sobie, iż bez nierozwagi staruszka, nie byłaby prawdopodobnie poznała *L'Ombry* wielbiciela, dodała ze słodkim uśmiechem: — Pociesz się, przestań się oskarzać, bo tobie zawdzięczam szczęście jedyne.

Gdy bliżej nad wszystkiem zaczęła się zastanawiać, te dwie rzeczy najwięcej dały jej do myślenia: Przysięga, iż tam śpiewać nie będzie, a ukrywając talent, pozbywała się uroku najwyższego, bo o swojej urodzie nie miała dobrego wyobrażenia i nigdy się tem nie zajmowała; i po drugie zwyczaje i obyczaje tak odmienne od tych, które panują w jej ojczyźnie! Czuła się zaniepokojoną, lękała się przyjęcia ze strony księżny Whitefield, której usposobienia bynajmniej nie znała. Nie śmiała zapytać sama siebie, co też nastąpi, gdy spotkają się z Willjamem... i trwożnie szepnęła:

— Czy potrafię podobać mu się nie śpiewając? — Niewinne jej serduszko odpowiedziało z prostotą dziecięcą:

— Pociągniesz go ku sobie miłością bez granic!

W dziecku tem było więcej odwagi jak zastanowienia, gdyż mimo tylu niepewności, tylu powodów do strachu i niepokoju, nie czuła się Erminja bynajmniej zniechęconą, przeciwnie, przyspieszała o ile mogła chwilę wyjazdu.

Przy pożegnaniu z starym, jedynym dziś przyjacielem, potrzebowała całej siły moralnej, tak rozłączenie z nim było dla niej bolesnem... Barini był w wieku zgrzybiałym, a Anglja tak daleko!...

W czułości swojej sam dziecię najdroższe do powozu wsadził, ręką własną drzwi zamknął i wrócił drżący i chwiejący się na nogach pod nim się uginających do pałacu opustoszałego po tej, która po sztuce była jedynem jego kochaniem, jedyną w życiu pociechą!

VI.

Lady Stève odjeżdżała zalewając się rzewnemi łzami, jednak z drogi się nie wróciła. Wszak tam, pod mglistem Anglji niebem miała odszukać ukochanego!

Nadzieja wkrótce łzy osuszyła. Ileż zamków czarownych na lodzie zbudowała, ile godzin słodko przemarzyła, zanim znalazła się w Paryżu, gdzie chciała zamówić stosowną wyprawę dla siebie. Żyjąc pospołu z arcydziełami mistrzów pierwszorzędnych, wyrobiła w sobie gust wytworny, umiała też wybrać w modach to, co było odpowiedne dla jej stanowiska i co podnosiło jeszcze jej wdzięki naturalne.

Urządziwszy się w Londynie, uczuła dopiero lęk nieprzezwyciężony, zobaczyła piętrzące się przed nią zapory, które mogły szczęściu jej przeszkodzić. Zdecydowała się wreszcie napisać do księżnej Whitefield. Odpowiedź nadeszła niebawem. Księżna oświadczała z wszelkiem uszanowaniem, iż będzie najszczęśliwsza przyjąć nazajutrz „ciocię wielce szanowną!"

Tych kilka wierszyków, rzuconych na papier welinowy, ozdobiony bogatą w górze armaturą, dziwne wrażenie na Erminję wywarły. Czuła się więcej onieśmieloną, niż gdy miała wyjść na scenę. Tam była pewną siebie, gdy przeciwnie na tym nowym dla niej teatrze, wszystko było jej obce, nieznane. Przechodziła w myśli każde słowo bileciku i pragnęła odgadnąć, jak jest właściwie usposobioną dla niej pisząca. Bała się, czy nie będzie niezgrabną, czy nie straci swojej naturalności, układu pełnego lubej prostoty, czy nie wyrwie się z czem niestosownem. Jednem słowem, gorączkowała noc całą jak rekrut w wilję walnej bitwy, w której ma po raz pierwszy proch powąchać.

Do tej ważnej wizyty przygotowywała się najstaranniej, wybrała strój najodpowiedniejszy dla jej płci, uwydatniający toczystość niezrównaną kibici, a przy tem skromny i nierażący, poleciła się Bogu w gorącej modlitwie, wsiadła do karety i pojechała do księżny pałacu. Lokaj upudrowany zapowiedział ją głosem przyciszonym, otwierając na oścież drzwi od salonu, a z głębi tegoż wysunęła się natychmiast drobna i fertyczna postać kobieca, biegnąc żywo i lekko naprzeciw wchodzącej.

— Witaj mi, witaj, kochana lady Stève! — wyciągnęła do niej księżna rękę na powitanie.

Usiadły. Słów kilka nader uprzejmych, wypowiedzianych bez przesady, uspokoiły cokolwiek i ośmieliły Erminję. Gospodyni domu zdawała się nią szczerze zajęta, wypytywała się życzliwie, jak jej się dotąd w Anglji podobało i czy długo myśli u nich zabawić. Mówiąc, oczu od gościa nie odrywała, z niezwykłą uwagą i jakby zdziwieniem, aż nagle wybuchnęła śmiechem wesołym, co do reszty zmięszało młodą Włoszkę.

— Przebacz milady! — zawołała księżna z całą serdecznością. — Nie mogłam atoli wstrzymać się od śmiechu, patrząc na ciebie i przypomniawszy sobie, iż pisząc, nazywałam cię tyle razy: „szanowną i czcigodną ciocią dobrodziejką!“ Myślałam zawsze, że lady Stève musi przynajmniej być w moim wieku, tymczasem widzę przed sobą osóbkę śliczną wprawdzie, ale nader młodziutką... Wiele też możesz lat liczyć?

— Dwadzieścia niespełna...

— No! To ja mam tylko o lat trzydzieści więcej!

— Byłabym ci też księżno nieskończenie obowiązaną, gdybyś raczyła obchodzić się ze mną z dobrotliwą wybaczliwością. Przyjechałam umyślnie do Anglji, aby mieć zaszczyt poznania jedynej krewnej męża mojego. Potrzebuję niezbędnie twojej księżno łaskawej protekcji i opieki, będąc zupełnie samą na świecie.

W słowach jej była rzewna nieśmiałość, a ton głosu był nadzwyczaj słodki i ujmujący. To też matrona poważna przerwała jej żywo:

— Winnam ci wszystko milady, niezawodnie! Jesteś więc sierotą? w wieku tak młodym i samą, zupełnie samą?

W krótkich słowach odpowiedziała na to pytanie, iż żyjąc zawsze w Alpino pomiędzy dziadkiem a lordem Stève, nie zna nikogo; nie obyta ze światem i jego zwyczajami, udaje się do księżnej prosząc o dobrą radę i naukę, jak się postępuje w sferach wyższych.

— Znajdziesz to wszystko we mnie, moje drogie dziecię! — księżna uściskała ją po macierzyńsku. — Zadanie zresztą trudnem nie będzie, gdyż wydajesz mi się milusieńką i jesteś dla mnie nader sympatyczną. Zostaniesz więc dłużej z nami? Tem lepiej!

Erminja podziękowała zupełnie uspokojona.

— Ależ mój aniołku — zaczęła znowu mówić księżna — nie mogę w żaden sposób przedstawić cię moim przyjaciołom i znajomym, jako „moją ciocię!...“ byłoby to nadto komicznem! Pomówmy otwarcie: Czego życzysz sobie właściwie? Opowiedz mi więcej szczegółów o sobie.

Zaczęła więc opowiadać o staraniach około niej dwóch dziaduniów, jak jeden z nich ożenił się z nią dla formy, aby do śmierci mieć ją przy sobie, wyliczyła swoje nauki, rozrywki, wszystko, prócz występów na scenie, o których ma się rozumieć zamilczała. Opisała swoje Alpino cudowne, tak smutne dla niej, od kiedy straciła tych, którzy ją tak czule kochali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Pani de Planche-Mibray do pani Villemur.

Najdroższa moja przyjaciółko!

„Co pomyślisz, otrzymując list od tej, która przed dwoma dniami żegnała się z tobą na zawsze? Ręka moja drży, pisząc to, a serce bije w piersiach z gwałtownością niesłychaną.

Zkąd list mój jest datowany i dlaczego piszę? Nie będziesz wiedzieć, nie zrozumiesz, aż przeczytasz do końca. I dlatego muszę ci opowiedzieć dokładnie wszystko, co zaszło od dwóch dni.

Wyjechałam z Planche-Mibray przedwczoraj o czwartej rano, pożegnawszy się z mymi służącymi, a zabrawszy z sobą tylko starego lokaja Jana.

Jan płakał wyjeżdżając. Gdzie jechaliśmy, nie wiedział, ale odgadywał.

W pięć godzin potem zatrzymaliśmy się w Avallon.

Stanąwszy w hotelu, zamknęłam się w pokoju, nie pokazując nikomu. Jan miał rozkaz zostawić konie i furmana, a wziąć konie i pocztyliona z hotelu.

Ruszyliśmy w drogę koło trzeciej popołudniu.

O piątej wyjechaliśmy na szczyt wzgórka, zkąd widać Chastellux, który ci opisywałam w liście ostatnim. Tu kazałam stanąć i wysiadłam z powozu.

Duży pniak drzewa leżał na drodze. Usiadłam na nim, wpatrując się w daleki krajobraz.

Na prawo, o dwie mile ztamtąd, widać było koło lasu w cieniu pagórka, wieżyczki klasztoru św. Piotra. A dalej, jeszcze dalej, spostrzegłam przy zmierzchu dnia drugi budynek, na ktorego widok zadrżałam.

Więc to będzie tam!

Jeszcze dwie godzin drogi, a drzwi te, które mają mię na zawsze odłączyć od świata, otworzą się i zamkną za mną.

Siedziałam tak przeszło godzinę, jak gdybym nie miała siły porzucić ten świat, który żegnałam na zawsze.

Zatopiona w marzeniach, wpatrywałam się w ten wspaniały krajobraz, oświetlony blaskiem zachodzącego słońca.

Nareszcie Jan, który stał kilka kroków odemnie, zamyślony i smutny, a który nie wiedział jeszcze gdzie jedziemy, ale miał jakieś przeczucie, zbliżył się do mnie mówiąc:

— Czy mamy jeszcze daleko jechać, proszę pani?

Drgnęłam, a wyrywając się z zamyślenia, spojrzałam na niego.

— Dlaczego pytasz mię o to? — odrzekłam.

— Bo proszę pani — odpowiedział, wskazując na niebo — będziemy mieli ulewę.

W istocie, podczas gdy nad naszemi głowami niebo było błękitne i jasne, nad klasztorem widać było ciemne chmury, a promienie słoneczne, padając na nie, nadawały im kolor sinawy.

— To burza się zbliża — wymówił.

— Przyjedziemy przed nią — odrzekłam i wsiadłam do powozu.

Jan nie omylił się. W niespełna godzinę potem deszcz zaczął kropić, a słońce schowało się za chmury.

Przejeżdżaliśmy wtedy koło klasztoru św. Piotra, a Jan, który siedział na koźle, kazał stanąć furmanowi koło alei, która tam prowadziła.

Wyjrzałam z powozu pytając:

— Co robisz Janie?

— Więc to nie tu jedziemy? — zapytał mię drżąc.

— Nie.

Westchnął i dodał znowu:

— Ale, proszę pani, będzie ulewa.

— A więc siądź do powozu koło mnie.

Nie śmiał biedny człowiek, ale to go skłoniło, (co widziałam po jego twarzy) że spodziewał się jeszcze zwalczyć moje postanowienie. I wsiadł do powozu.

Gdy usiadł, spojrzał na mnie i rzekł ze łzami w oczach:

— Miałem jednak nadzieję dziś rano, przyjechawszy do Avallon.

— Jaką?

— Myślałem, że pani baronowa jedzie do kościoła św. Piotra, robiąc pielgrzymkę na tydzień za spokój duszy św. pamięci p. Manuela.

— Mój przyjacielu — odpowiedziałam — pielgrzymka, którą robię, trwać będzie całe życie.

— Ale gdzież jedziemy, mój Boże! — wykrzyknął.

— Jedziemy do klasztoru Urszulanek.

A wziąwszy go za rękę dodałam:

— Czas już, abym powiedziała ci prawdę. Opuszczam ten świat, wstępuję do klasztoru, i daremneby były twe mozoły, mój poczciwy Janie, aby obalić moje postanowienie.

Jan krzyknął dziwnym głosem.

— Zakonnicą! — szepnął — zakonnicą!...

— Tak mój przyjacielu.

— Domyślałem się... — i płakał jak dziecko.

— Jakże chcesz, abym żyła teraz? — rzekłam do niego. — Mąż mój umarł, Manuel umarł... Nie mogę więc kochać tylko Boga!...

Stłumił łkania, a robiąc gwałtowne wysilenie, rzekł nagle:

— Ależ pani baronowo, czyż nie może pani zostać w Planche-Mibray, i tam kochać Boga gorąco? I biednych, którzy są twojemi dziećmi, pani?! I wszystkich tych nieszczęśliwych, którzy w godzinach smutku wznoszą oczy do wieżyczek twego zamku, jakby do nieba?!...

I człowiek ten o białych włosach, ten służący skromny i cichy, mówił do mnie z takiem przekonaniem i z takim zapałem, o jaki bym go nigdy była nie podejrzywała. To też wzruszył mnie do głębi.

Mówił mi o biednych w naszej okolicy, o dobru, jakie kobieta w mojem położeniu może zdziałać.

Wiedział dobrze, że gdyby począł mi mówić o szczęściu, przyszłości, może nawet o innej miłości, powstrzymałabym go zaraz. Dlatego też o tem ani słowa nie wspomniał.

Ale dał mi do zrozumienia, ile to rzeczy pięknych i zbawiennych mogę zrobić z mym krociowym majątkiem. Odnowić kościół, postawić szpital dla starców, otworzyć szkoły dodatkowe, założyć folwark, w którym biedni znaleźliby zajęcie...

Więc uczułam się zachwianą w mem postanowieniu, ale wspomnienie pana de Villenave nasunęło mi się. Gdybym się cofnęła, czyżbym nie musiała oddać mu moją rękę?

— Nie, nie — rzekłam stanowczo — nie chcę! nie mogę!

Umilkł, a łzy puściły mu się znowu.

Przez ten czas burza wzmagała się gwałtownie. Deszcz bił o szyby powozu; ściemniło się nagle i błyskało straszliwie. Kilka razy konie spięły się przestraszone.

Pocztylion zatrzymał się, pytając gdzie jedziemy, bo nic nie widział w oddali, jak tylko wieś lichą. Spuściłam okno w powozie i zawołałam:

— Jedziemy do klasztoru.

Niedługo potem powóz stanął przed murami klasztoru.

— Zleź — rzekłam wtedy do Jana — i zdejm walizkę, którą przywiozłam z sobą.

Jan szlochał ciągle, lecz usłuchał. Wysiadłam po nim.

Deszcz mocny padał bez ustanku, ale byłam z tego zadowolona. Ta burza w obłokach uspokajała burzę mego serca.

Jan szedł zadzwonić do bramy klasztornej. Wstrzymałam go.

— Nie — rzekłam — jeszcze nie.

Położył walizkę moją na progu drzwi klasztornych. Wówczas rzekłam do niego: pożegnaj się ze mną i jedź!

Upadł na kolana i błagał mię jeszcze raz, abym porzuciła ten zamiar.

— Jedź! — powtórzyłam mu.

I popchnęłam go do drzwiczek powozu i kazałam mu usiąść przemocą. Stał się powolnym jak dziecko i nie wiedział sam co robi.

Dałam sakiewkę moją pocztylionowi, który nic nie rozumiał z tej sceny.

— Przyjacielu mój — rzekłam do niego — odpowiecie mi za tego biednego człowieka. Miejcie staranie o nim i wracajcie do Avalion.

I wtedy znowu zbliżyłam się do powozu, i zamiast dać mu rękę do pocałowania, objęłam starca rękami i przycisnęłam go do serca, jakgdyby mojego własnego ojca.

Potem odpychając go gwałtownie, zawołałam:

— Żegnam cię, żegnam!..

I zamknęłam drzwiczki, wołając do pocztyliona:

— Jedźcie! jedźcie prędko!

Powóz potoczył się szybko, ciągnięty silnemi końmi pocztowymi.

I wtedy znowu, zamiast zadzwonić, usiadłam na mojej walizce, ścigając wzrokiem latarnie powozu, który się oddalał.

Deszcz padał ciągle, i byłam cała przemoknięta, ale nie myślałam o tem...

Z wzrokiem skierowanym w to światło, które się oddalało, w te dwie latarnie, które zaczynały przygasać, jak dwie gwiazdki blednące w mgle rannej, zdawało mi się, że był to ostatni węzeł, wiążący mię jeszcze z tym światem, który w mgle przygasał. Nareszcie światło znikło.

Podniosłam się, a oczy moje zatrzymały się na murach klasztornych. Chwilę wahałam się jeszcze, chwilę jeszcze ręka moja leżała nieruchoma na klamce.

Nareszcie zadzwoniłam, a echo tego dzwonka odbiło się w mem sercu jak gdyby dzwon pogrzebowy.

Jedna albo dwie minuty upłynęły.

Spojrzałam jeszcze na wieś, którą błyskawice oświecały od czasu do czasu. Z pewnością tak, jak skazaniec na rusztowaniu wpatruje się w tłum, który go otacza pełen życia i wrzawy, i w słońce, które dlań świecić przestanie...

Wkrótce odgłos kroków dał się słyszeć, rygle zaskrzypiały, małe okienko otwarło się we drzwiach, do których zadzwoniłam.

Dzień przedtem napisałam długi list do przełożonej, pisząc jej o mem postanowieniu i donosząc o przyjeździe. I właśnie to ona otworzyła okienko.

— Kto jesteś siostro i czego sobie życzysz? — rzekła do mnie, używając pytania zwyczajnego.

— Jestem biedna grzesznica, która chce wejść do domu Bożego i żyć tam, modląc się — odpowiedziałam.

— Wejdź siostro! — odrzekła.

Zamknęła okienko, potem inne rygle zaskrzypiały i drzwi się otwarły. Znalazłam się wtedy w obecności przełożonej, która była z dwiema innemi zakonnicami.

Była to kobieta z twarzą surową, ale na niej znać jeszcze było ślady dawnej piękności.

I podczas gdy obie zakonnice wnosiły walizkę, w którą zabrałam trochę bielizny, przełożona wzięła mię za rękę i zaprowadziła do swojej celi. Tam zamknęła się ze mną, mówiąc:

— Dziecię moje, dom Boga otwarty jest dla tych, którzy cierpią. Ale zdarza się nieraz, że wspomnienie boleści minionych zaciera się i łagodzi, a wtedy żal przychodzi za światem. Czy namyśliłaś się dobrze, ty, pani, młoda, piękna, bogata, uwielbiana?

— Namyśliłam się — odpowiedziałam.

— A więc — odrzekła — witamy cię siostro nasza. Odtąd poddasz się wszystkim regułom naszego zakonu. Do dwóch tygodni jeszcze będziesz mogła wyjść z tych murów, które teraz zamknęły się za tobą. Potem dopiero uczynisz śluby tymczasowe.

Ubrała mię zaraz w suknie zakonne i zaprowadziła do refektarza, gdzie zakonnice jadły wieczerzę.

Ta wielka sala, ponura i pusta, ten krzyż umieszczony na środku, te naczynia fajansowe, te potrawy na pół niedogotowane i zaledwie trochę okraszone oliwą, wszystko to jakieś dziwne na mnie zrobiło wrażenie.

Cisza grobowa panowała dokoła. Zakazanem jest mówić.

Po kolacji poszliśmy do kaplicy. Modlitwy wieczorne trwały przeszło trzy godziny.

Potem godzina spoczynku uderzyła i zamknięto mię w mojej celi.

Czy mam ci się przyznać droga przyjaciółko? Spędziłam noc straszną. Słowa poczciwego Jana przychodziły mi na myśl i przestrach nieokreślony opanował mój umysł. Ta krew cygańska, którą mam w żyłach, wrzała we mnie gwałtownie, i ciężar tych murów bez echa dusił mię.

Rano dzwonek zadzwonił, i wraz z innemi zakonnicami poszłam do kaplicy. Szło się do niej przez mały trawnik.

Burza nocna ucichła, a niebo pogodne, które widziałam nad moją głową, jak gdybym była w głębi studni, wydało mi się przeźroczystem i błękitno-lazurowem.

Cyganka zbudziła się we mnie chciwa i pragnąca powietrza, światła i wolności.

Na próżno klęcząc na taflach kaplicy, z czołem pochylonem w prochu, biłam się w piersi, starając się zapomnieć o tym świecie, który opuściłam... Świat ten pukał do serca mego gwałtownie.

Przełożona kazała mię zawołać po śniadaniu i rzekła:

— Twoje oczy siostro są czerwone, płakałaś?...

— Tak jest, w istocie — rzekłam — ale zostanę.

Dzień upłynął. Smutno mi było na sercu, a wspomnienie przeszłości wrzało w mojej duszy.

Na próżno odpędzałam od siebie wspomnienia wesołe mojej młodości i starałam się myśleć o Bogu. Młodość wrzała gwałtownie w głębi mego serca.

I podc as gdy tak klęczałam w mojej celi, szmer jakiś usłyszałam i drgnęłam.

Był to szmer podobny temu, który usłyszałam wczoraj przyłożywszy rękę do dzwonka. Szmer ten wczorajszy pogrzebowy i pełen tajemniczego przestrachu, odbił się teraz w mojem sercu, jak gdyby promyk nadziei.

Któż to przychodził ze świata do tego schronienia umarłych? I serce moje zabiło gwałtownie, jak gdyby ten odgłos dzwonka zapowiadał mi jakąś wizytę, i wkrótce, o cudzie! siostra odźwierna weszła do mojej celi.

— Siostro moja — rzekła do mnie — proszą cię do refektarza. Przełożona pozwala ci pójść, boś jeszcze nie wyrzekła żadnych ślubów.

Dreszcz przeszedł mnie całą. Zdawało mi się, że zemdleję.

— Zeprzyj się na mnie siostro — rzekła zakonnica, która widziała, że nie mogę iść.

Ale gdy wyszłam z celi, siły mi powróciły.

Kto śmiał nachodzić moje ostatnie schronienie?

Nie wiedziałam, nie odgadywałam, ale ktokolwiek on był, mężczyzna czy kobieta, wybaczałam mu naprzód, bo przynosił mi głos i słowo ze świata.

Przybywszy do refektarza, krzyknęłam, a zakonnica musiała mię znowu podtrzymać.

Człowiek jakiś stał za kratą.

Człowiekiem tym, bladym i smutnym, a który zatrząsł się, gdy mię obaczył, był p. de Villenave. Miał na sobie uniform szary, czerwony i czarny, uniform legji kapłańskiej.

— Ciotko moja -- rzekł do mnie głosem wzruszonym — wstąpiłaś do klasztoru, ponieważ przyrzekłaś mi swój majątek, a chcąc dotrzymać tej obietnicy, musiałabyś była oddać mi swoją rękę. Jeżeli szukasz zapomnienia za murami tego klasztoru, ja pójdę szukać spokoju na polu bitwy, i znajdę go z pewnością!... — a mówił to głosem wzruszonym, prawie złamanym.

Wtedy, najdroższa moja przyjaciółko, przekonałam się że ten człowiek kocha mię rzeczywiście, i przykro mi było, żem go tak źle osądziła. Nie wiem już com szeptała, ale on mówił dalej do mnie:

— Jesteś bogatą, młodą, możesz zrobić wiele dobrego. Dlaczego grzebać się żywcem w tym klasztorze? Dlaczego nie oddychać świeżem powietrzem, i pogrążona w twojej szlachetnej boleści, jakby pod cieniem puklerza, dlaczego nie żyć na naszym świecie? Czy to przezemnie? czy ja jestem tego powodem? Źle mnie osądziłaś pani. Sądziłaś, że pragnąłem dziedzictwa mego wuja, podczas gdy miłość szalona ogarnęła serce moje. Miłość ta znajdzie spokój na polu śmierci, przeto nie żałuj mię pani!...

Nie wiem dalej, co mi mówił jeszcze, moja najdroższa, nie wiem nawet co się stało. Ale drzwi otwarły się przedemną, a klasztor zniknął jak sen straszny i przykry po przebudzeniu. Piszę do ciebie z Avallon.

Jutro wracam do Planche-Mibray.

P. de Villenave chce jechać do Rzymu, a ja go teraz zatrzymuję.

Nie mogę go kochać. Manuel umarły, żyje zawsze w mojem sercu. Ale znów nie chcę, aby umarł ten, który wyrwał mię z grobu. Przystaje on na przyjazd kilkodniowy do Planche-Mibray. Co się stanie? Nie wiem.

Może zgodzi się na to, wyszukać sobie żonę i pozwoli mi podzielić się majątkiem, który dziś rano jeszcze należał cały do niego. Może będziemy żyć jedno obok drugiego jak brat i siostra!...

O! ten klasztor!... Nie jestem pewna, czy mi włosy w nim nie pobielały.

Jeżeli znajdujesz mię winną droga przyjaciółko, wybacz mi... Jeżeli wydaję ci się tylko szaloną, żałuj mię...

Marta de Planche-Mibray.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.